

Zwykle tytuł niniejszego felietonu jest tożsamy z tytułem sztuki teatralnej, której jest on poświęcony. Tym razem jednak brzmi inaczej. Ale tak właśnie trzeba, bo w Teatrze im. Słowackiego pokazano nam w ubiegły piątek, pierwszego czerwca, nie „Wesele” samo, ale właśnie jego premierę.

Nie ma chyba powodu przypominać czym jest „Wesele” dla krakowskiej tradycji, nie tylko teatralnej. Dla mnie jest ono równie ważne jak Barbarakan, Wawel i Lajkonik; jest bowiem składnikiem niezbywalnym atmosfery kulturalnej miasta, jest do dziś tłem dla naszych myśli, zbiornicą symboli, powiedzonek, legend związanych z miejscem. Dlatego też trudno jest pisać mi o przedstawieniu tym jako o osiągnięciu teatralnym tylko. Zresztą „Wesele” od początku, od swojej prawdziwej premiery, było czymś więcej znacznie niż tylko wydarzeniem teatralnym, artystycznym. Wtedy, na początku naszego wieku było także przeżyciem ideowym oraz skandalem towarzyskim, było wypowiedzeniem głośnym tego, co wszyscy mówili do siebie tylko, było ujawnieniem ducha czasu... Obecnie jest czymś więcej, w innym nieco wymiarze.

Co prawda sama zawartość myślowa sztuki nie jest już dzisiaj tak jawnie aktualna, już nie przejmujemy nas radość i trwoga, gdy słuchamy i oglą-

## Z teatru

# Premiera „Wesela”

damy to wszystko na scenie — tak jak ogarniały one naszych dziadków. Ale „Wesele” to przecież jedyna żywa tradycja teatralna jaką posiadamy. Właśnie tak! To tradycja związana z przedstawieniem, a nie ze sztuką, z reakcją publiczności a nie z zamierzeniami autora. „Wesele” dla Krakowa to nie sztuka Stanisława Wyspiańskiego — to spektakl teatralny, na który idzie się do teatru przy placu św. Ducha. Więc składa się na to zjawisko zarówno tekst jak i teatr, jego otoczenie, całe miasto, jego mieszkańcy — a więc także publiczność.

I tu dochodzimy do pozornego paradoksu. Publiczność na premierze była też jakby zrekonstruowana. Czułem — a ze mną chyba i inni bardziej i mniej dostojni widzowie — że jestem wciągnięty przez teatr w jakąś drwną grę z czasem, że jestem uczestnikiem jakiegoś przedstawienia, które powstało już kiedyś istniejące zdarczenia — po prostu czułem się swoim własnym dziadkiem. Z zawstydzeniem obciążałem swoje zbyt jasne na tą okazję u-

branie, czerwieniąc się na myśl, że nie mam fraka a przynajmniej surduta. To poczucie jednoczyło widownię i scenę. Musiałem się jednak z niego wyzwolić (co z trudem mi przychodziło), gdyż mimo wszystko nie piszę recenzji do „Czasu” lecz do „Echa”. Tak więc musiałem wydobyć się z tej sennej elegijnej galicyjskiej atmosfery, aby spojrzeć na nią z zewnątrz, aby ją i sprawcę jej pojawienia się — przedstawienie — opisać. Cóż można powiedzieć o spektaklu samym, w oderwaniu od jego antykwarycznej, muzealnej funkcji? Cokolwiek by się w nim nie działo dobrego czy złego, jego twórcy mają jedną odpowiedź — tak właśnie chciał Wyspiański. Tak, to prawda. Jakież jest więc to „Wesele” wedle tamtego czasu, wedle tamtych problemów i myśli tamtej epoki? Jest — trzeba to przyznać — troszeczkę nudne. Ale tą nudą nostalgiczną, pełną uczucia. Jest bardzo dobrym przedstawieniem, i to przedstawieniem bardzo zaangażowanym. Aż żal żę bierze — tamta, dekadentcka epoka wydała taki o-

stry, twardy, drażniący ich wszystkich utwór, który nikomu nie przepuszczał, który sądził całą rzeczywistość, który był projektem nowego, który burzył złudzenia... A nasza epoka, tak potrzebująca zaangażowania, tak nasiąknięta ideologicznością, co?... Czym byłoby „Wesele” naszej epoki? Czy byłoby możliwe? W czasie premiery tego starego „Wesela” jeden z najważniejszych ludzi miasta wyszedł z teatru trzaskając drzwiami łoży. Czy dzisiaj byłoby możliwe takie przedstawienie, z którego wyszedłby ktoś równie ważny i równie demonstracyjnie by się obraził?

Jeszcze dwie uwagi na koniec — jedna o aktorach, druga o przyszłej publiczności.

Aktorzy byli na wysokości zadania. Lecz trochę rozdwojeni (co jest zarzutem do reżysera) — jedni grali postacie z „Wesela”, drudzy — grali aktorów z premiery „Wesela”. Wydaje mi się, że wszyscy powinni grać jednak aktorów z premiery „Wesela”... Najlepiej grał właśnie takiego aktora z premiery pan Witkiewicz (Poc-

ta), który wyglądał dosłownie jak z pocztówki austriackiej; pan Cebulski (Gospodarz) stworzył raczej postać historyczną Włodzimierza Tetmajera, też doskonale w stylu. No i dynamiczny Czepiec grany przez pana Smelę, najbarwniejsza postać spektaklu, doskonale skomponowana i wytrzymała przez wykonawcę.

Co do przyszłej publiczności, która będzie stanowić w większości młodzież i ludzie związani z Krakowem od niedawna — to niechże publiczność ta uczy się na tym spektaklu, czym jest to miasto, w którym im przyszło żyć. To najlepszy sposób nauczania jak zostać krakowianinem, jak odebrać atmosferę tego dziwnego miasta. I niech nie patrzą tylko na scenę, niech zważają na widownię także, niech przejdą się po korytarzach, schodach i palarni teatralnej. Niech posłuchają rozmów i podsłuchają szeptów tego czegoś, co po łacinie nazywa się *genius loci*, a co po polsku znaczy — duch opiekujący się miejscem wybranym.

## MACIEJ SZYBIST

Stanisław Wyspiański „Wesele”. Wnówienie. Inscenizacja Stanisława Wyspiańskiego. Reżyseria: Piotr Paradowski. Scenografia: Barbara Stopkówna. Dokumentacja przedstawienia: Jerzy Got i Zbigniew Raszewski. Muzyka: Franciszek Barzuss. Teatr im. Słowackiego.